Nr. 21. Lwów, dnia 1. lipca 1900. Tom I.

ROMANS I POWIEŚĆ

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE BELLETRYSTYCE.

Wychodzi każdej niedzieli.

Cena we Lwowie: rocznie 10 koron, półrocznie 5 koron, kwartalnie 2 kor. 50 h.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA **Lwów, pl. Marjacki 6.**

Cena dla prowincji: rocznie 12 koron, półrocznie 6 koron, kwartalnie 3 korony

ŚMIERĆ BABY ANNY.

PRZEZ

HENRYKA PIĄTKOWSKIEGO.

Baba Anna zaczęła od pewnego czasu nie domagać; zgarbiła się jeszcze bardziej, skurczyła, twarz pełna zmarszczek przybrała pewien odcień brunatny, *ziemia już na nią lazła* widocznie. I pokaszliwała też częściej, suchym, monotonnym kaszlem — tak czasem się zakrztusiła, że stawała się fioletową, oczy krwią nabiegały, i nie mogąc złapać oddechu chwil kilka, zatrzymywała się z otwartemi ustami, dłonią żebra przyciskając, bo ją strasznie piersi bolały.

Z początku myślała, że ją krew męczy. Sprowadzony z drugiej strony wsi konował, końskiem puszczadłem utoczył sporo krwi babinie, pomogło, ale nie na długo.

Otulona w podartą świtkę, wlokąc nogami krzątała się po chacie, robiła trochę porządku, ale robota nie szła. Nachylać się nie mogła, gdyż ją i w piersiach dusiło i w boku kolka kłóła, a nogi popuchłe zupełnie już odmawiały posłuszeństwa; wnuczka czternastoletnia Tekla, jako tako ją wyręczała. Stękanie długie i przeciągłe i gderanie na dziewczynę osładzały babie Annie obecne jej życie.

Czasami, gdy słonko blade już, bo październikowe zajrzało przez brudne szybki do chałupy, wychodziła na podwórze i siadała na *przyźbie* tuż przy drzwiach, grzała się. Już ani krowy wydoić nie mogła, ani *kabanka* nakarmić, czasami tylko rzuci garść pośladu kurom. Od czasu *wozowicy* nie była na polu, smaku wódki zapomniała, sąsiadek nie odwiedzała od dawna, jednem słowem źle było z babą Anną!

Zaczęto powoli oswajać się z myślą o prędkim zgonie staruszki. Przyszedł widocznie czas, i tak zresztą długo śmierć dawała się prosić. Baba Anna nie pamiętała swych lat, bo któżby tam mógł to pamiętać, wiedziała tylko, że skończyła sześćdziesiąt, czy siedemdziesiąt, lecz w rachubie tej mogła łatwo się mylić. Nie trzeba jednak myśleć, iż brakło jej pamięci. Broń Boże! Były fakta, które wbiły się w jej umysł, o których lubiła opowiadać, jak n. p. zamąż wychodziła, tej samej jesieni co Barbara, co Katarzyna, co Andzia, z któremi razem na doświtki i wieczornice chodziła. Pamięta też, że miała pięcioro dzieci: dwóch synów, Jana i Piotra i trzy córki: Agatę, Annę i Helenę Synowie i najstarsza Agata mieszkali oddzielnie w tejże samej wsi, Anna przed laty dwudziestu gdzieś przepadła bez wieści, najmłodsza Helena *„pokrytka“* służyła w powiatowem mieście zkąd raz zjawiła się u rodziców z córeczką i prędko jakoś zmarła, pozostawiając małą Teklę, którą paroch zawsze nazywał nieprawnie urodzoną, rodzina zaś *padalicą*.

Z twarzy baby Anny niktby się nie mógł domyśleć, iż była kiedyś piękną... a jednak starzy ludzie, bardzo starzy ludzie mawiali, że niegdyś, równej jej co do urody we wsi nie było. Wiedziano też, że przez czas pewien była w łaskach u ówczesnego pana i że Piotr młod-

szy jej syn, jest pańskiem dzieckiem, czego dowodem było i to, że miał podwójny nadział ziemi i chatę przez dworskich robotników zbudowaną.

Nie był to sekret dla nikogo, a nawet stary Kacper, mąż baby Anny i teraz jeszcze, gdy się upił, opowiadał, jak mu dobrze było za czasów starego pana, a gdy który z gospodarzy sprzeczał się z Piotrem po pijanemu, obstawał zawsze za nim, mówiąc by nie zaczepiano pańskiego dziecięcia.

Obecnie Piotr należał do grona najbogatszych włościan; miał w chałupie podłogę, palił lampkę z *gazem* (nafta), pług wołów, parę koni. Z żony Marty córki bogatego młynarza ze wsi okolicznej miał dwoje dzieci.

Za to starszy syn baby Anny, Jan, rozpił się i marniał, a choć mu się włos już srebrzył do niczego dojść nie mógł. Nie miał widocznie szczęścia!

Stary Kacper od pięćdziesięciu lat połączony nierozerwalnemi węzły z babą Anną, był straszny ciemięga. Maleńki, łysy, z rzadką białą brodą, miał dziwnie dobrotliwy i jakby jowialny wyraz twarzy. Przez ciąg długiego swego życia różnego doznawał losu, było mu dobrze i źle, czas jakiś bardzo był zamożny, na starość dzieci wyposażywszy, zubożał. Pracował w pocie czoła to na małym kawałku gruntu lub przy chacie, z pomocą syna Jana, a także zięcia Ignaca. Nieustannie zażywał tabakę, ztąd wąsy miał zupełnie rude. Był czas, że pił, lecz nałóg ten przeszedł. Jego głupota była historyczną. Raz zapytany jakie imię nosi jego połowica odpowiedział, iż nie wie.

— Jakto nie wiesz? wszak to twoja żona, tyle lat z nią żyjesz.

— No! nie wiem, zapomniałem — odpowiadał.

— A jakże ty ją wołasz?

— Jak ja krzyknę „stara!“ to ona odpowiada „ha!“

Takim był dziad Kacper.

Żył ze swą starą i z wnuczką we troje, jak Bóg przykazał, odwiedzał dzieci, przyjmował, gdy które przychodziło w odwiedziny i byłoby mu dobrze na świecie, gdyby nie to niedomaganie baby Anny.

A baba Anna tymczasem „och taj, och!“ włóczy się po chacie, gderze, zwyczajnie, jak stara, zagląda do pieca, do dzieżki, a gdy ją kaszel bardzo przygnębi staje przy stole lub ławie pochylona i prosi Boga by tchu nie stracić.

Jednego dnia trudno jej było wstać z tapczana. Dziad siedział już przy misce barszczu z fasolą. Od tygodnia już krzepiąc się nadzieją i prostując małą swą figurkę i gładząc połyskującą swą łysinę, doszedł do wniosku, że jego stara źle coś przędzie!

— Oj! oj, oj, oj — stękała.

Kacper z podełba spoglądał na żonę żując; zażywszy potem tabaki, niby od niechcenia zapytał.

— No, jakże tam stara? źle z tobą, ha? coś mi się widzi, że to już będzie i koniec.

— Oj, tak i mnie się widzi.

— A boli? co?

— Oj, ledwie dyszę, tak kolka sparła!

Tego dnia baba Anna zupełnie nie wstała. Nad wieczór o zmierzchu przyszedł syn Jan z żoną, trochę podchmielony a także żona Piotra, Marta.

Posiadali pod ścianą na ławie jedno obok drugiego, dzieci Jana przytuliły się przy piecu koło Tekli, która siedząc na ziemi, kartofle, małym obwiniętym w szmatę nożykiem, obierała.

Przedmiotem ogólnej rozmowy była spodziewana śmierć baby Anny. Zwracano się wciąż do chorej.

— No, a trumna już jest? zapytał Jan, nakładając małą, czarną fajeczkę.

— Gdzież tam — odrzekła chora — mój stary, to taki ladaco, że dotąd nic nie przygotował.

— Piotr ma deski, jutro raniutko zbijemy trumienkę — odrzekł syn.

— Tylko zrób, żeby nie była wązka — nie żałuj synku materjału.

Spokojnie, cichym głosem zaczęła stara dawać rozporządzenia. Tyle a tyle spódnic Agacie, tyle Marcie żonie Piotra, którą lubiła, a tyle znowu żonie Jana. Chustki także rozdzieliła, korale kazała oddać Tekli, kożuch nowy także Tekli, buty czerwone jeszcze z dobrych czasów, także Tekli; nie zapomniała dodać, aby obcas jeden podkuć, bo podkówka odleciała.

— Darujecie mi babo i pas czerwony wyszywany, przerwała wnuczka, podnosząc głowę z pod pieca.

Nie zgodziła się na to chora; pas ten będzie dla Marji córki Agaty, znajdą się tam jeszcze kośniki i wstążki.

Krowa i wieprzak zostawały przy chacie, kurę jedną po pogrzebie kazała zanieść paro-

chowi, ale byle nie tę żółtą, szurpatą, gdyż niesie się przez rok cały.

W ciągu godzinnej rozmowy niezapomniano o niczem, każden szczegół był przez rodzinę obmyślany, przedyskutowany, każdy przedmiot znalazł przeznaczenie.

Już dobrze się ściemniło, gdy i Agata nadeszła. Przywitała się przy progu i zająwszy miejsce obok innych wmieszała się do rozmowy.

Przedewszystkiem prosiła by nowy kożuch oddano jej; Tekla jeszcze mała, ona zaś swoją córkę na jesieni już za mąż wydaje.

Wnuczka rozpłakała się w kącie:

— „Wszystko ciotka zabierze a jej sierocie nic nie pozostanie!“

Babę Annę napadł straszny paroksyzm suchego kaszlu. Agata zbliżywszy się do starej poprawiła poduszki, a popatrzywszy na jej zsiniałą z wysiłku twarz, zrobiła uwagę, że śmierć się zbliża i że trzebaby posłać po parocha na co się chora zgodziła.

Zwracając się wnet do syna Jana kazała mu by poszedł do Piotra i powiedział by przywiózł spowiednika. Piotr jedyny w rodzinie miał porządny wózek i parę koni. Jan, wyszedł natychmiast, Kacper od pewnego już czasu spał skulony na tapczanie, kobiety zbliżyły się do starej i zaczęły głośno rozprawiać, przypominając inne pogrzeby, niedawny szczególnie żony sołtysa, jak tam wszystko dobrze się odbyło, ile zebrało się ludzi, ile wódki wypito i jak płakano.

Baba Anna postękiwała i od czasu do czasu dorzuciła jakie słowo. Ogólny nastrój dość wesoły przerywał tylko szloch Tekli, która wciąż jeszcze opłakiwała ów nowy kożuch.

Spowiedź odbyła się przykładnie, jak należy, już przy kaganku, gdyż ściemniało zupełnie. Wszyscy stojąc żegnali się trzykrotnie, pochylając głowy automatycznie, proboszcz szeptał niewyraźne słowa modlitwy, czyniąc ostatnie pomazanie.

Po skończonym uroczystym obrzędzie udarowany kurą odjechał paroch wraz z Piotrem; Janowa z dziećmi poszła do siebie. Po kolacji pozostali przy chorej: Kacper, Marta i Agata. Kilku sąsiadów mężczyzn i kobiet i kilkoro dzieciaków bosych i zamorusanych zwabionych uroczystością — także porozchodziło się. W chacie, po wieczerzy zgaszono piec, pozostawiając na rano żar w garnku, popiołem przykryty i wszyscy ulokowali się na spoczynek.

Nazajutrz rano dało się słyszeć stukanie w szopie. Jan i Ignacy mąż Agaty, zbijali z tarcic trumnę. Baba Anna zbudziła się po śnie ciężkim i znowu zaczęła stękać, kaszlać i narzekać. Tekla wodę na krupnik przyniosła, w piecu rozpaliła, izba napełniła się skrzeczeniem kur i kaczek, a z obory dolatywał ryk krowy, którą, aby wyręczyć dziewczynę poszła Agata wydoić.

Dziad Kacper wróciwszy z podwórka, gdzie przy studni zlał sobie głowę, po krótkiej modlitwie, którą zmówił u węgła chaty na wschód zwrócony, przystąpił do tapczana i zapytał żonę jak jej teraz;

— Źle! — odrzekła.

— A widzisz już śmierć?

— Niedaleko już gdzieś ona! — i znowu zaczęła stękać.

Stękała też przez dzień cały. Kazała wymaglować na śmierć *namitkę* i koszulę wyszywaną, a także wyjąć ze schowanka spodnicę w duże kwiaty i żółty czepiec.

Córka i synowa krzątały się przy niej. Zebrani następnie w rogu chaty, przy stole, na którym dymił się krupnik, rzucali po za siebie ciekawe spojrzenia, czy też stara w ciągu tego czasu nie wyzionęła ducha.

Ale baba Anna nie umierała! Przewracała się z boku na bok, coraz coś nowego sobie przypominała i nowe robiła rozporządzenia. Przyniesiono potem gotową już trumnę, aby się mogła nią *nacieszyć!* Podziękowała uśmiechem synowi i zięciowi i kazała w sieniach postawić.

Minął dzień jeden i drugi, a baba Anna żyła. Członkowie rodziny kolejno się zmieniali tak, aby ktoś zawsze był przy chorej. Kacper ze smakiem zażywał tabakę. Jan gdy przyszedł zadymiał całą chałupę *bakunem,* zjawił się też i Piotr w kaszkiecie z sukna czarnego, ubrany coś niby z miejska, niby ze szlachecka, traktujący i rodziców i rodzinę — protekcjonalnie.

Na czwarty dzień, gdy wszyscy jeszcze spali, baba podniosła się, postawiła jedną nogę na ziemi, potem drugą, usiadła i zaczęła jęczeć. Mimo to jednak wstała, zakaszlała się niemiłosiernie, ale zrobiła kilka kroków. Zbudzony mąż ujrzał ją ze źdźiwieniem na środku chaty — istny duch!

— Cóż to chodzisz już babo? — zawołał — a może myślisz tańcować? Ha? Zaśmiał się ze swego dowcipu.

Baba nie tylko że nie umierała, ale do

zdrowia przychodziła. Codzień czuła się lepiej, choroba ustawała, bardzo pomału wprawdzie, ale ustawała. Kolka przestała kłóć zupełnie, kaszel się zmniejszał i jednego pięknego po ranku wyzdrowiała zupełnie, a było to może we dwa tygodnie po spowiedzi.

Dnia tego zapanowała wielka radość w rodzinie, zeszły się dzieci i wnuki, baba Anna sama nalepiła pierogów, Piotr przyniósł butelkę wódki — do późna bankietowano.

Jedno tylko przykre wspomnienie zaciemniało czysty horyzont myśli baby Anny. Przez nieuwagę dano parochowi ową żółtą, szurpatą kurę, niosącą się rok okrągły; nieuwaga nie do darowania!

Trumna zawsze przydać się może, ale co takiej kury, gdzie tu dostać.

Wkrótce po tem na wiosnę — trumna rzeczywiście się przydała. Legł w niej stary Kacper, a baba Anna, otoczona przez liczną rodzinę, odprowadzając dziada na wieczny spoczynek, nadzwyczajnie płakała. Wieczorem po pogrzebie w pięknej Piotrowej chacie paradną stypę wyprawiono, gdzie ledwie, że nie cała wieś znalazła się przy obficie zastawionych stołach. Rodzina widocznie dla utulenia żalu po ciężkiej stracie — spiła się co się zowie a babę Annę następnie pod ręce odprowadzono do domu pijaną bez pamięci.

Pogrzeb ten pamiętano długo, tyle na nim wódki wypito, i tyle szczerych łez wylano.

Baba Anna dotąd podobno jeszcze żyje... ale już bardzo stara.

Cztery dni Jana Gourdon.

EMILA ZOLI.

(Tłómaczone z francuskiego).

II.

Lato.

Dnia tego, gdy się obudziłem około trzeciej z rana leżałem na twardej ziemi, złamany trudem, z czołem potem okrytem. Ciężka i gorąca noc lipcowa przytłaczała mi piersi.

W około mnie towarzysze moi spali, owinięci w płaszcze. Tworzyli oni jakby czarne plamy na szarej ziemi, a cała ta ciemna płaszczyzna dyszała.

Około północy wojsko zatrzymało się i rozkazano nam położyć się i spać. Już od trzech dni byliśmy w marszu, paleni słońcem, oślepieni kurzem. Nakoniec nieprzyjaciel stał przed nami, tam na tych wzgórzach, w przestrzeni Ze świtem oczekiwaliśmy rozpoczęcia bitwy.

Ogarnęło mnie jakieś obezwładnienie. Przez trzy godziny leżałem jak zabity, bez tchu prawie. Leżąc na plecach, z oczami otwartemi, marzyłem przypatrując się nocy, marzyłem o tej bitwie, o tej rzezi, którą słońce oświecić miało. Od lat sześciu za każdym pierwszym strzałem żegnałem się z ukochanemi istotami, z Basią i Lazarem — I oto miesiąc zaledwie przed uwolnieniem mojem musiałem się raz jeszcze żegnać z nimi, tym razem może na zawsze

Powoli myśli moje stawały się przyjemniejsze. Gdym zamknął oczy, ujrzałem Basię i Lazara. Jak to dawno nie ucałowałem ich! Przypomniałem sobie dzień naszego rozłączenia; wuj płakał, że jest biednym i musi mi pozwolić tak wyjeżdżać, a Basia wieczorem przysięgła mi, że na mnie czekać będzie i mnie tylko kochać

Musiałem wszystko porzucić, mego zwierzchnika z Grenobli, moich przyjaciół z Grenobli, moich przyjaciół z Dourgues. Od czasu do czasu przybywały listy zapewniające, że mnie zawsze tam kochają, że szczęście na mnie czeka w mojej ulubionej dolinie. A ja tu być musiałem i może się dać zabić.

Zacząłem marzyć o powrocie Ujrzałem mego biednego, starego wuja na progu probostwa, wyciągającego ku mnie drżące ręce, a za nim stała Basia zarumieniona cała, przez łzy uśmiechnięta. Rzu-

ciłem się w ich ramiona, ściskałem ich, bełkocząc niezrozumiałe słowa...

W tem raptownie bicie w bęben powróciło mnie do strasznej rzeczywistości. Świt nastał, szara płaszczyzna rozszerzała się w mgłach poranku. Ziemia ożyła, niewyraźne formy ukazywały się zewsząd. Hałas zwiększający się napełnił powietrze, słychać było nawoływania trąbki, galop koni, turkot artylerji i krzyk komendy. Wojna stawała groźna wpośród moich snów serdecznych.

Podniosłem się z trudnością; zdawało mi się, że mam kości połamane, a głowa mi pęka. Zgromadziłem moich ludzi naprędce; bo muszę wam powiedzieć, że doszedłem do stopnia sierżanta. Otrzymaliśmy wkrótce rozkaz udania się na lewo i zajęcia małego wzgórza, które wznosiło się nad płaszczyzną. Gdy już mieliśmy ruszać, wagmajster przeszedł, biegnąc, i zawołał:

— List dla sierżanta Gourdon!

I oddał mi list pomięty, zawalany, który tarzał się może od tygodnia w workach pocztowych. Zaledwie miałem czas rozpoznać pismo wuja Lazara.

— Naprzód, marsz — zawołał komendant.

I musieliśmy iść naprzód. Przez parę sekund trzymałem mój biedny list w ręku, pożerając go wzrokiem, parzył mi palce, byłbym oddał wszystko w świecie, by czytając go, módz usiąść i wypłakać się do woli. Musiałem się nareszcie zdecydować i wsunąć go za kurtkę.

Nigdy nie doznałem podobnego niepokoju. Powtarzałem sobie na pociechę to, co mi wuj tak często mówił, było to lato mojego życia. W chwili gorącej walki należało mi wypełnić odważnie moją powinność, jeżeli pragnąłem mieć jesień spokojną i obfitą. Ale te rezonowania doprowadzały mnie do większej rozpaczy; ten list, który przybywał, by mówić o szczęściu, palił mi serce, oburzające się przeciw szaleństwu wojny. I nawet, przeczytać go nie mogłem! Może umrę, nie dowiedziawszy się, co w sobie zawiera, nie mogąc usłyszeć po raz ostatni poczciwych słów wuja Lazara.

Przybyliśmy na wzgórze. Mieliśmy tam czekać na rozkaz posunięcia się naprzód. Pole bitwy wybrane było do dogodnego wymordowania się nawzajem. Olbrzymia, naga płaszczyzna rozciągała się na parę mil, bez kawałka drzewka, bez najmniejszego domku.

Płoty i krzaki odbijały jak niewielkie plamy od tła gruntu. Nigdy już nie ujrzałem podobnej okolicy: morze kurzawy, grunt kredowy, popękany miejscami i ukazujący ciemne wnętrza swoje. Nigdy też nie ujrzałem nieba tak czystego i tak płonącego, ani takiego pięknego lipcowego poranku; o ósmej powietrze było tak gorące, że paliło nam twarze. O! co za cudowny poranek i co za niepłodna płaszczyzna, by na niej zabijać i umierać!

Już oddawna słychać było strzały z odgłosem suchym i regularnym, od czasu do czasu poparte hukiem armat. Nieprzyjaciele, w wyblakłych mundurach, opuścili wzgórza i płaszczyzna poprzerzynana była długiemi szeregami ludzi, którzy wydawali się mali, jak owady. Powiedziałby kto, że to zbuntowane mrowisko. Wielkie kłęby dymu rozciągały się po polu bitwy. Chwilami, gdy się rozpraszały trochę, spostrzedz można było uciekających żołnierzy, zdjętych panicznym strachem. Istnieją takie napady trwogi, unoszące ludzi i porywy wstydu i odwagi, zmuszające ich powracać pod kule.

Nie mogłem słyszeć krzyku ranionych, ani widzieć krwi płynącej. Rozróżniałem tylko po czarnych punktach leżące trupy, pozostawione przez bataljony. Zacząłem przypatrywać się ciekawie ruchom wojska, dym zakrywał mi połowę widowiska i znajdowałem jakiś rodzaj egoistycznej przyjemności, czując się bezpiecznym, kiedy inni umierali. Około dziewiątej kazano nam iść naprzód. Zeszliśmy ze wzgórza krokiem szybkim, kierując się ku środkowi linji wojsk. Regularny chód naszych kroków wydał mi się pogrzebowym. Najodważniejsi z nas dyszeli wybladli i chmurni.

Przyrzekłem sobie mówić prawdę. Za pierwszym świstem kul, bataljon stanął jak wryty, mając ochotę uciec.

— Naprzód, naprzód! — wołali dowódzcy.

Ale my byliśmy jak przybici do miejsca, spuszczając głowy, ile razy kula świnęła około uszów. Ten ruch jest instynktowny; gdyby mnie wstyd nie wstrzymywał, byłbym się rzucił na ziemię w tym kurzu.

Przed nami rozciągała się wielka zasłona dymu, której przebyć nie śmieliśmy. Czerwone błyskawice przerzynały ten dym. A my, drżący, staliśmy wciąż na miejscu. Ale kule dochodziły do nas, żołnierze padali, rycząc.

Dowódcy krzyczeli głośniej:

— Naprzód, naprzód!

Szeregi, będące za nami, popychane przez inne, zmusiły nas do posunięcia się. Wtedy, zamknąwszy oczy i rozpędziwszy się na nowo, weszliśmy w dym.

Szalona wściekłość nas ogarnęła; na okrzyk: Stój! z trudnością zatrzymać się nam przyszło.

Gdy ruch ustaje, strach wraca i powraca ochota uciekać. Strzały jednak rozpoczęły się na nowo. Strzelaliśmy przed siebie. Strzelałem machinalnie

ze ściśniętemi ustami i szeroko rozwartem okiem; nie czułem już strachu, bo mówiąc prawdę, nie wiedziałem nawet, czy żyję

Jedna myśl tylko błądziła mi wciąż po głowie, że strzelać będę, póki się wszystko nie skończy. Towarzysz mój z lewej strony dostał kulą w twarz i padł na mnie odepchnąłem go szorstko, ocierając policzek, który krwią mi zbroczył i strzelałem dalej.

Przypominam sobie jeszcze, że widziałem pułkownika naszego pana de Montrevert, siedzącego prosto i sztywno na koniu i patrzącego ze spokojem na nieprzyjaciela Ten człowiek wydał mi się olbrzymem Nie miał broni dla rozerwania myśli, a pierś jego rozpościerała się całą swą szerokością po nad nami. Od czasu do czasu spuszczał wzrok i wołał do nas głosem suchym:

— Ścieśniać szeregi, ścieśniać szeregi!

I ścieśniliśmy szeregi jak barany, depcząc po trupach, ogłupieli i wciąż strzelający. Dotąd nieprzyjaciel posyłał nam tylko kule karabinowe, w tem huk głuchy dał się słyszeć, kula armatnia porwała nam pięciu ludzi. Baterja, która stanąć musiała wprost nas, rozpoczynała ogień. Kule biły w zbitą masę, prawie w to samo miejsce, czyniąc otwór krwawy, zapełniany przez nas natychmiast z uporem dzikich zwierząt.

— Ścieśniać szeregi — powtarzał zimno pułkownik.

Nadstawiliśmy żyjące mięso ludzkie armatom. Za każdym upadającym żołnierzem robiłem jeden krok do śmierci, przybliżałem się do miejsca, gdzie kule chrapały głucho, gniotąc ludzi, na których kolej nadeszła. Trupy gromadziły się w tem miejscu i wkrótce kule uderzały już tylko w kupę ciał pokaleczonych; kawały członków latały w powietrzu za każdym nowym wystrzałem armatnim. Już nie mogliśmy ścieśniać szeregów.

Żołnierze wyli, dowódzcy sami zostali zelektryzowani.

— Na bagnety, na bagnety!

I pod gradem kul, bataljon pobiegł z wściekłością naprzeciw strzałom Firanka dymu rozdarła się. na małym wzgórzu ujrzeliśmy baterję nieprzyjacielską, czerwoną żarem i ziejącą ogniem na nas ze wszystkich paszcz swoich armat. Ale pochop był już dany, kule zatrzymywały tylko zabitych.

Biegłem koło pułkownika Montrevert, któremu konia ubito i który bił się teraz, jak prosty żołnierz. Raptownie zostałem powalony, zdawało mi się, że mam pierś roztwartą i że mi ramię urwano. Wiatr straszny przeszedł mi po twarzy.

Upadłem. Pułkownik runął obok mnie. Czułem, że umieram, myśl moja pobiegła do moich ukochanych i szukając ręką mimowolnie listu wuja Lazara, zemdlałem.

Gdym przyszedł do siebie, leżałem piersiami w kurzu. Odrętwienie silne obezwładniało mnie Oczami szeroko otwartemi patrzałem wprost przed siebie, nic nie widząc. zdaje mi się, że nie mam już żadnego członka i że czaszka moja pusta Nie cierpiałem, bo życie tak, jakby uleciało z mego ciała

Słońce ciężkie, nieubłagane, padało mi na twarz, jak roztopiony ołów. Nie uczułem tego Zwolna powracać zacząłem do życia, członki stały się lżejsze, tylko ramię pozostało przygniecione ciężarem olbrzymim. Wtedy to z instynktem zranionego zwierza, chciałem się podnieść na nogi Wydałem okrzyk bolu i upadłem na nowo na ziemię.

Ale teraz żyłem przynajmniej, widziałem, rozumiałem Płaszczyzna rozciągała się naga i pusta, cała w słońcu; rozpościerała swoje spustoszenie pod pogodnem i żarzącem niebem. Stosy trupów spały w tym upale, a ścięte drzewa wydawały się także usychającemi trupami. Nie było ani odrobiny wiatru. Cisza przerażająca panowała w tym stosie trupów, a chwilami głuche skargi przerywały ją i drgały w powietrzu. W przestrzeni, na wzgórzach, lekkie kłęby dymu wznosiły się jeszcze i tworzyły szare plamy na cudownym błękicie nieba. Mordowano się dalej na wzgórzach.

Zdawało mi się, żeśmy zwyciężyli, doznawałem egoistycznej roskoszy, widząc, że umrzeć będę mógł spokojnie na tej płaszczyźnie opuszczonej W około mnie ziemia była czarna. Gdym podniósł głowę, ujrzałem o kilka metrów baterję nieprzyjacielską, na którą uderzyliśmy. Walka musiała być straszną; wzgórze było pokryte ciałami posiekanemi okropnie, krew tak obficie płynęła, że kurz wydawał się jak wielki czerwony dywan. Po nad trupami, armaty wyciągały swoje ciemne paszcze. Cisza tych armat dreszczem mnie przejęła Wtedy powoli, z niesłychanemi ostrożnościami, zdołałem unieść się na brzuchu. Oparłem głowę na wielkim kamieniu całkiem zbroczonym i wyciągnąłem z za gorsu list wuja Lazara. Położyłem go przed oczyma: łzy przeszkadzały mi czytać

A słońce paliło mi plecy, cierpkie wyziewy krwi dusiły mnie. Czułem w około siebie płaszczyznę z widokiem rozdzierającym wpośród tej surowości umarłych. Serce moje płakało w tej ciszy ciepłej, wśród tych o mdłości przyprawiających wyziewów mordu

Wuj Lazar pisał:

„Drogie dziecko!

„Dowiaduję się, że wojna wypowiedziana, mam

nadzieję, że otrzymasz uwolnienie jeszcze przed rozpoczęciem kampanji. Co rano proszę Boga, by cię uchronił od nowych niebezpieczeństw, on mnie wysłucha, pozwoli chętnie, byś mi kiedyś zamknął powieki

„Ach! mój biedny Janie, starzeję się i bardzo mi twego ramienia potrzeba. Od chwili twego wyjazdu nie czuję już przy boku twojej młodości, która mi powracała moje lat dwadzieścia. Czy przypominasz sobie nasze spacery poranne w alei dębowej? Nie śmiem teraz pójść tam pod drzewa, jestem sam i boję się. Durance płacze. Przybywaj prędko pocieszyć mnie i uspokoić moje troski“...

Łkanie mnie dusiło, nie mogłem czytać dalej W tej chwili krzyk rozdzierający dał się słyszeć o parę kroków odemnie, ujrzałem żołnierza podnoszącego się gwałtownie z twarzą skurczoną, wzniósł ręce z niesłychanem przerażeniem runął na ziemię, wił się jeszcze w strasznych konwulsjach, poczem nie ruszył się już więcej.

Czytałem dalej:

„Złożyłem moją nadzieję w Bogu, pisał dalej mój wuj, powróci cię do Dourgues zdrowo i szczęśliwie i rozpoczniemy nasze miłe życie na nowo. Pozwól mi pomarzyć głośno, opowiedzieć ci moje zamiary na przyszłość. Nie powrócisz już do Grenobli, pozostaniesz przy mnie. Zrobię z dziecka mego syna ziemi, wieśniaka, który żyć będzie wesoło wpośród prac rolnych. A ja się usunę do twego folwarku. Moje ręce drżące nie będą mogły wkrótce już utrzymać Hostji Proszę Boga o dwa lata tylko podobnego życia Będzie to nagroda za parę dobrych uczynków, które spełnić mogłem. Wtedy poprowadzisz mnie czasami na ścieżki naszej ukochanej doliny, gdzie każda skała, płot każdy przypomni mi twoją młodość, którą tak kochałem“.

Musiałem się zatrzymać, gdyż uczułem w ramieniu ból tak silny, iż myślałem, że zemdleję powtórnie. Okropny niepokój mnie ogarnął, zdawało mi się, że odgłos strzałów się zbliża i pomyślałem z przerażeniem, że nasze wojska cofają się, i że w ucieczce zdeptać mnie mogą. Ale zaraz się przekonałem, że kłęby dymu wciąż w tej samej stronie wlokły się po wzgórzach

Wuj dodawał:

„A będzie nas troje kochających się wzajemnie. Ach! mój najdroższy Janie jakżeś dobrze zrobił owego poranku, nad brzegiem Durance, zbliżając się do Basi, by ją napoić Ja obawiałem się jej, gniewałem się na nią, a teraz jestem zazdrosnym, bo widzę, że cię nigdy tak kochać nie potrafię jak ona. „Powiedz mu, powtarzała mi wczoraj, rumieniąc się, że jeżeli da się zabić, pójdę się rzucić do rzeki w tem samem miejscu, gdzie mi pić podawał“.

„Na miłość Boską chroń twego życia. Są rzeczy, których zrozumieć nie mogę, ale czuję to, że szczęście tu na ciebie czeka. Nazywam już Basię moją córką, widzę ją opartą na twojem ramieniu, w kościele, gdy błogosławić będę wasz związek. Chcę, by to była moja ostatnia msza. Basia jest dziś wysoką i śliczną panną Ona ci będzie pomocą w pracy“...

Odgłos strzałów oddalał się, płakałem słodkiemi łzami. Słychać było głuche jęki wśród żołnierzy, którzy konali pomiędzy kołami dział. Zobaczyłem jednego, który wszelkich sił używał, by zsunąć z siebie towarzysza rannego jak on, ciało nieszczęśliwego gniotło mu piersi, a że ranny bronił się jęcząc, żołnierz pchnął go szorstko i zepchnął ze wzgórza, a ten jęczał, zsuwając się po pochyłości. Na ten krzyk, szmer wzniósł się z pośród kupy trupów. Zachodzące słońce miało promienie szarozłote, a błękit nieba stał się bledszy.

Kończyłem list wuja Lazara.

„Chciałem poprostu, mówił jeszcze, dać ci o nas wiadomość, błagać cię byś prędko przybywał nas uszczęśliwić.. i ctóż plotę jak stary dzieciak. Miej nadzieję, mój biedny Janie, ja się modlę, a Bóg jest dobrym.

„Odpowiedz mi prędko i oznacz, jeżeli możesz chwilę twego powrotu. Liczymy tygodnie, ja i Basia.

„Do zobaczenia, dobrej nadziei“.

Chwilę mego powrotu!... Ucałowałem list, szlochając. Zdawało mi się przez chwilkę, że całuję wuja i Basię Pewno nigdy ich nie zobaczę Miałem umierać jak pies w tym kurzu, pod tem ołowianem słońcem. I to tu, na tej nieszczęśliwej płaszczyźnie, wpośród tych śmiertelnych chrapań, ukochani moi żegnali się ze mną Brzęczenie ciche przepełniało mi uszy patrzałem na białą ziemię krwią poplamioną, która rozciągała się pusta aż po szare linje horyzontu. Powtarzałem ciągle: „trzeba umierać“. Zamknąłem oczy i starałem się uprzytomnić sobie Basię i wuja Lazara.

Nie wiem, jak długi czas przebyłem w jakiejś drzemce bolesnej, dusza moja cierpiała na równi z ciałem. Łzy płynęły mi po twarzy zwolna. Wśród widzeń strasznych, jakie mi sprowadzała gorączka, słyszałem wciąż jęk podobny do kwilenia dziecka, które cierpi. Chwilami budziłem się patrzałem na niebo ze zdziwieniem

Pojąłem nareszcie, że to jęczy pan de Montrevert, leżący o parę kroków odemnie, uważałem go za zabitego. Leżał twarzą obróconą do ziemi z rę-

kami rozpostartemi. Ten człowiek był dobrym dla mnie, powiedziałem sobie, że nie mogę mu pozwolić tak umierać z twarzą w ziemi i zacząłem się czołgać powoli ku niemu.

Dwa trupy nas przedzielały. Przez chwilę, chciałem przejść po brzuchach tych trupów, aby sobie skrócić drogę, bo za każdem poruszeniem, ramię moje szalenie mnie bolało. Ale nie śmiałem tego uczynić. Posuwałem się na kolanach, pomagając sobie ręką. Gdym się znalazł przy pułkowniku, odetchnąłem swobodniej, zdawało mi się, że mniej jestem samym; będziemy umierać razem i ta śmierć, podzielana, już mnie nie przerażała. Chciałem, by zobaczył słońce, obróciłem go najostrożniej w świecie ku niemu. Gdy promienie słońca padły mu na twarz, odetchnął mocno, otworzył oczy. Nachylony nad nim, spróbowałem uśmiechnąć się do niego Spuścił powieki na nowo; po drżących jego wargach zrozumiałem, że jeszcze odczuwał swoje cierpienia.

— To ty, Gourdon — rzekł do mnie nakoniec słabym głosem; czy bitwa wygrana!

— Zdaje mi się, że tak, pułkowniku — odpowiedziałem.

Nastąpiła chwila milczenia. Potem, otwierając oczy i patrząc na mnie, zapytał:

— Gdzieś raniony?

— W ramię.. a wy pułkowniku?

— Muszę mieć łokieć strzaskany... Przypominam sobie, to ta sama kula armatnia tak nas ładnie urządziła, mój chłopcze

Zrobił wysilenie, by się podnieść

— Tam do djabła — rzekł z szorstką wesołością — nie będziemy przecież tu nocować.

Nie uwierzylibyście, ile ta dobroduszna odwaga dodała mi sił i nadziei. Czułem się zupełnie innym odkąd było nas dwóch do walki ze śmiercią.

— Poczekaj pan — zawołałem — obandażuję twoje ramię moją chustą i będziemy się starali podtrzymać jeden drugiego do najbliższego ambulansu.

— To dobrze, mój chłopcze... Nie ściskaj mnie mocno... Teraz weźmy się za nasze zdrowe ręce i starajmy się podnieść.

Podnieśliśmy się, chwiejąc. Utraciliśmy dużo krwi, w głowie nam się kręciło, nogi uginały się pod nami. Wziętoby nas za ludzi pijanych, potykaliśmy się, popychali i obchodzili wkoło, by uniknąć trupów. Słońce zachodziło w różowym blasku, a nasze olbrzymie cienie skakały dziwacznie po polu bitwy. Był to koniec pięknego dnia

Pułkownik żartował, dreszcze kurczyły jego wargi, śmiech jego podobnym był do łkania. Czułem to dobrze, że padniemy gdzie w kącie, by już nie powstać więcej. Chwilami uczuwaliśmy zawroty głowy, musieliśmy się zatrzymywać, zamykając oczy. W głębi płaszczyzny ambulanse tworzyły małe plamki szare na ciemnej ziemi.

Potknęliśmy się o duży kamień i przewróciliśmy się jeden na drugiego Pułkownik klął, jak poganin. Próbowaliśmy iść na czworakach, czepiając się cierni. Posunęliśmy się na czworakach ze sto metrów, krew płynęła z moich kolan.

— Mam już tego dość — rzekł pułkownik, kładąc się — niech przyjdą mnie ztąd zabrać, jeśli chcą. — Spijmy.

Miałem jeszcze dość siły, by się unieść na wpół i wołać, o ile mi tchu starczyło. Jacyś ludzie przechodzili zdaleka, zbierając rannych, przybiegli, położyli nas obok siebie na noszach

— Towarzyszu mój — rzekł do mnie pułkownik podczas drogi — śmierć nas nie chce. Winienem ci życie, wypłacę się z mego długu, gdy mnie będziesz potrzebował... Daj mi twoją rękę.

Złożyłem moją rękę w jego i przybyliśmy do ambulansów. Pozapalano pochodnie; chirurgowie obcinali i piłowali w pośród straszliwego wycia rannych; z pokrwawionej bielizny wydzielała się woń mdła i przykra, a pochodnie rzucały w miednice odblaski jakby ciemno-różowej mory.

Pułkownik zniósł mężnie amputację ramienia, widziałem tylko, że mu usta zbielały, a oczy mgłą zaszły. Gdy na mnie przyszła kolej, chirurg obejrzał mi ramię.

— To kula armatnia — rzekł — dwa centymetry niżej, a ramię byłoby urwane Tylko ciało zostało skaleczone.

A gdy zapytałem pomocnika, który mnie opatrywał, czy rana była niebezpieczna:

— Niebezpieczna — odpowiedział, śmiejąc się Poleżysz pan ze trzy tygodnie, by odzyskać siły, ubytkiem krwi stracone.

Obróciłem się do ściany, nie chcąc pokazać łez moich I ujrzałem oczyma duszy Basię i wuja Lazara, wyciągających do mnie ramiona Skończyłem nareszcie krwawą walkę mego letniego dnia

(C. d. n.)

Z GŁĘBI SYBIRSKIEJ.

PRZEZ

JULIUSZA TURCZYŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

XII.

Wędrowcy nasi weszli niebawem do gospody, w której znajdywało się więcej ludzi, może z takich, coby im o twierdzy dali jakie takie wskazówki. Matka była niespokojna na to, co się dowie. Towarzysz zaś jej usiadł i zapalił sobie lulkę.

Ten i ów w gospodzie, ujrzawszy obcego człowieka, chętnego do rozgoworu, próbował wszcząć z nim rozmowę. Stary gwarzył z różnymi — nareszcie natrafił na starego kaprala-gadułę. To mu było na rękę. Kazał wtedy, jak zwykle, podać flaszę wódki lepszej, „ruskiemu“ żołnierzowi na taki widok zaiskrzyło w ślepiach. Kobieta była jak na szpilkach, lecz stary dawał jej do poznania, że tu trzeba cierpliwości.

Prawiąc o tem i o owem, zapytał się stary nareszcie, czy tam dużo dziś mają wojska w twierdzy...

— Ano jak? — odrzekł kapral. — Ta jakby to było, żeby w twierdzy nie było wojska. To przecie Irkuck, całej gubernii stolica...

— Ja wiem ci, że tam jest wojsko — mruknął stary — bo go niemało w mieście widziałem... ale czy w twierdzy irkuckiej będzie i szkoła, gdzieby dzieci na przyszłych żołnierzy ćwiczono?...

Słuchając z natężeniem drżała matka, w nadziei i obawie.

— A jakby inaczej? — odmruknął kapral.

Po chwili dodał:

— O! jest wam tego dosyć... ale nie z każdego będzie bo sałdat, jak się patrzy... He! he! To basałygi, ta drań burjacka, a i Oroczany nie lepsze. Bij to, smaruj po plecach, a to, byle jeno co zwędzić...

— Albo tam jest co do kradzenia? — zagadnął stary. — Przecie z twierdzy nie wolno im wychodzić?

— A tożby było — odmruknął kapral — żeby temu było wolno wychodzić na miasto! Wy bo Lach, toż nie wiecie, co to regulamin nasz. U nas regulamin, co się zwie... A choć to jeszcze nie wojsko, jeno szkolary, to i dla tego jest regulamin. Kradną wam — no, jak się uda... Lecz nie w mieście, ani po siołach. Ono tylko praktykuje w domu... ot! tak, jeden drugiemu co zwędzi. Ale za to rózgi. Bo jeźliś umiał zwędzić, umiejże i ukryć, abyś wstydu nie robił drugim!.. Jeśli teraz cię złapią... no, to i później jako żołnierza będą łapali... a tobo zawżdy wstyd jest dla żołnierza, jeśli go złapią... Umiał zwędzić, a nie umiał ukryć?... Za to należy mu się podwójna kara. Nasz kapitan, to on zawżdy mawia: Ty sukisyn, psiapara, potrafił zwędzić, a nie umiał schować... Paszoł teraz! sto pałek, że ukradł, a dwieście, że nie umiał schować i narobił wstydu całemu regimentowi...

— A bodaj was! To macie mądrego kapitana, co się zwie, zuchu? — rzekł weselej stary nasz.

— Ano pewnie, że mądry on, taj sprawiedliwy i dba o wojsko, nie tak, jak inni, co sami... no, to... Wy mnie rozumiecie?... a żołnierzowi prawią kazanie, jakby pop na spowiedzi. Sałdat przecie żyć musi... Jemu nikt nie da bumaszki...

Stary, postrzegłszy, że towarzyszka jego dręczy się niepewnością o dziecko swoje, gdy kapral na dobre się rozgadał o czem innem, zagadnął teraz tego w inny sposób:

— No! to wy umiecie na dobrych żołnierzy wychowywać młodą czerń burjacką a tatarską.. Ale car-batjuszka nie z samych Burjatów, ani Tunguzów, urobi wojsko dla siebie?... Musicie mieć i inne chłopięta?...

— Ano jakby ich nie było! odrzekł kapral. To wy chcielibyście, żeby się człek paskudził tam z pogańskiem jeno bydłem? Ho! ho! Tam mamy i dzieci mużyków, dostatnich, jak się patrzy... są tam nawet i dzieci podoficerskie, co się wychowują na koszt carski, z łaski dla rodziców... Tak, tak, przyjacielu...

Stary wtrącił teraz od niechcenia: — Słychać że tam być mają nawet poniewoli dzieci żydów sybirskich, które car każe zabierać?...

Matka siliła się teraz panować nad sobą.

— Czemuby nie miał zabierać?... Czy tylko sybirskich?... Pamiętam, jak bo tego drobiazgu przypędzono tu het aż z Polszczy waszej.

— Z Polski? — powtórzył ciekawiej stary. A kapral dodał:

— No, tak, a jakie to wam było wynędzniałe!

Połowa tego nie wytrzymała nawet drogi... Ale to bo niedobre do pułku...

— A dla czego car zabiera? — zagadnął stary.

— Ha! taki jego rozkaz. Żydy muszą oddawać, bo to własność carska.

— A onychże z Sybiru jest tam wielu w tej szkole? — wtrącił stary.

— Ta, jakby nie było! — odmruknął kapral.

Kobieta zatrzymywała oddech, on dalej prawił:

— Zrazu to wrzeszczy, płacze, najgorzej... a potem pozna, że inaczej nie będzie. I musi słuchać, bo inaczej rózgi...

Matka drgnęła na te słowa, i łzy stanęły jej w oczach. Kapral na nią popatrzył. Stary nasz wtrącił teraz:

— A czy tam nie będzie chłopiec jaki, syn Nuchima z Czyty?

— W moim oddziele nie ma — odrzekł kapral — żydowskie dzieci będą w oddziele mego kamrada...

— Ale tam nas puszczą? — próbowała się odezwać Sara. — Rodzicom przecież pozwolą widzieć się z dzieckiem?...

Kapral wypatrywał się na nią. Po chwili rzekł poważnie: To twierdza.

— Ale... podobny panu wojak — zagadnęła kobieta — tam są dzieci... a jeśli które ma rodziców? ojcu, matce pozwolą widzieć się z dzieckiem?

Kapral pozierał po obojgu, szukając w mozgównicy swej na to odpowiedzi. Matka była, jak na torturze. Po dłuższej pauzie, odezwał się kapral.

— Ta, czy ja wiem?.. Ale ja tam nie widział żadnego ojca, ni matkę.

— Ale w razie, jeśli matka przychodzi zdaleka — wmieszał się stary chcąc pomódz kobiecie — by syna zobaczyć, czy żyje, czy zdrów...?

— Oho! czy zdrów — odmruknął kapral. — Tam każdy musi być zdrów... Już to o to niech się nie boi... A jeśliby zasłabł... no, to w fortecy jest doktor. jest i szpital. Ale wierzcie mi, pal djabeł doktora i szpital! między nami powiedziawszy.

— Lecz jeśli kapitan przekona się, że matka niczego więcej nie pragnie, jak tylko zobaczyć dziecko swoje, którego dawno nie widziała, i dziękować im jeno za łaskę, że będzie kiedyś carskim żołnierzem, sługą? — zapytał stary.

— Jak to, kapitan? — wtrącił kapral zdziwiony.

— Jesli nie kapitan, to możeby major? — zapytał stary niezbity z toru.

— Ani nawet major nie ma tam do takiego rozkazu — rzekł poważnie kapral.

— Ale sam komendant, mógłby pozwolić? — wtrącił stary.

— Komendant? — odpowiedział kapral bardzo poważnie. — Komendant? To on wszystko może. Ale co ty myślisz, Lachu? To przecie generał, i generał carski.

— Ja też rozumiem — dodał stary. — Ale jakby się do niego dostać?

— Na! czy ja wiem-ci? — odmruknął kapral. — To generał! Na piersiach chresty! A jakie? Czy ty widział kiedy, Lachu, takie chresty? Jemu chresty dali w Petersburgu. Sam car batjuszka własną ręką mu przypiął.

— Ale, wy nam poradzicie, jakby to się dostać do samego komendanta — rzekł stary.

— Na! ja tego już nie wiem — odpowiedział kapral.

— No, no, pomyślimy! — dodał stary i wskazał ręką, żeby podano flaszę, a z mocniejszą.

Gdy „russki" kapral zoczył przed sobą flaszę, zabrał się do niej. Wypiwszy zaś szukał w mózgownicy swej sposobu, jakby im na to powiedzieć — nareszcie odezwał się:

— Tu trzeba dobrze pomyśleć i nie z jednym pogadać i poradzić się, bo generał, to nie kapral, ani feldfebel... On nawet kapitany i majory w gębę bije, jeśli mu się co nie podoba. Ale kobiety... no! to on za wielki, ażeby się nad tobą pastwił...

Nareszcie na tem się skończyło, że kazał przyjść staremu nazajutrz do gospody; obiecał bowiem dowiedzieć się od swego kamrada, w którego oddziele najwięcej jest Burjatów, Tunguzów, a i żydowskich dzieci, czy w samej rzeczy taki a taki chłopiec z Czyty, jak go opisano, znajduje się tamże.

XIII.

Przez całą noc potem matka nie zmrużyła oka.

Gdy się nazajutrz zeszedł towarzysz Sary z kapralem swoim, otrzymał pewną wiadomość, że chłopiec dawny Nuchimów w samej rzeczy jest w oddziale. Matka usłyszawszy drżała na całem ciele, a w uniesieniu dziękowała Bogu, że jej przecie dozwolił odszukać syna.

Jakżeż tu teraz począć, aby jej pozwolono zejść się z nim? Lecz kapral wiedział od swojgo kamrada, że to mógłby uczynić jeden tylko oficer będący adjutantem generała, ażeby ten ostatni pozwolił widzieć się matce z synem. Ale kto tu dostąpi do adjutanta komenderującego, który jest dla kaprala niedostępnym. Adjutant ten bowiem jest to panicz znakomitego rodu, i żyje nie z lada kim. Ale po dłuższem namyśleniu podał kapral sposób następujący.

W skutek instancji kaprala niby nie uczynił taki panicz. Jest jednak pewien kupiec bogaty, który jest z nim w stosunkach pieniężnych, bo panicz potrzebuje zawsze wiele pieniędzy, zanim mu nadeszlą z domu. Kupiec ów bardzo ma być dla biedniejszych uczynnym, a nawet często hojnym. Żadnej ofiary nie skąpi dla monasterów, wspomaga biednych, a że jest litościwego serca, nie opuściłby w nieszczęściu nawet Lacha, a tem bardziej kobietę, która została sama jedna na świecie.

Po kilku dniach wielkiej niepewności udało się kupca tego uprosić, ażeby przez litość dla matki wyrobił przez adjutanta wstęp do generała. Kobieta czekała z największą niecierpliwością.

Nareszcie dano jej znać, że będzie mogła stanąć przed komendantem z najuniżeńszą prośbą widzenia się z synem. Kobieta wtedy zadrżała, bo jak ona stanie przed człowiekiem, przed którym drżą tutaj wszyscy. Błagała, ażeby jej pozwolono wziąć z sobą towarzysza wędrówki, lecz jej na to odpowiedziano, że kto nie ma „czynu“, taki nie jest człowiekiem przed generałem, a kto ma nizki „czyn“, może tylko stanąć chyba do raportu. i odejść, kiedy da znak namiestnik carski. Lach zaś każdy dla komendanta fortecy jest tylko skazańcem. Ona zaś — co innego, ona jest kobietą i matką, a takiej w drodze łaski będzie wolno paść na kolana przed obliczem namiestnika carskiego. Kobieta drżała z trwogi a niepewności, ale jako matka zrezygnowaną była dziś na wszystko.

XIV.

Nadszedł nareszcie dzień, w którym miała stanąć matka dziecka przed surowe oblicze komendanta.

Gdy wśród innych czekających przyszła na nią kolej, zebrała wszystkie siły, aby wejść do sali, w której był potentat, od którego los jej dziecka dziś zależy.

W samych zaś drzwiach do sali pociemniało jej w oczach, że ledwie utrzymać się mogła na nogach.

Ujrzawszy groźną postać namiestnika carskiego zadrżała z razu, lecz zebrawszy wszystkie siły dowlekła się parę kroków — i padła mu do nóg. On się cofnął, i mruknąwszy surowo kazał jej zdala się trzymać.

Kobieta się nieco podniosła, a ujrzawszy zimne, surowe, oblicze człowieka, straciła teraz mowę.

— Kto ty? I czego chcesz tutaj? — odezwał się zmarszczywszy lice.

Rozpacz matki dodała jej siły, że się odezwać mogła:

— Nieszczęśliwa... przyszłam tu... przed twoje oblicze... Jasny, wszechmocny. panie..

— Czego chcesz? Mów prędzej! Kto ty? — powtórzył niecierpliwie.

— Ja nieszczęśliwa!... ja bardzo nieszczęśliwa. Mąż mój siedzi zamknięty...

— No, skoro siedzi — przerwał jej krótko generał — to niech siedzi. Daremna twoja prośba.

— Ale, to nie o niego tu chodzi. Jasny panie. On już siedzi cztery lata.

— I długo jeszcze ma siedzieć? — zapytał z przekąsem. — I za co siedzi?

— Że ukrył dziecko swoje, jedyne, które mu zabrano. Ono tutaj.

— I ty się ważysz tutaj przychodzić, błagać może łaski jakiej dla zbrodniarza takiego? To przestępstwo ciężkie, bardzo ciężkie, gorzej niż gdyby zabił, podpalił. Dziękuj Bogu, że on tutaj. On powinien był pójść w katorgi, a nie siedzieć w twierdzy... A ty jego żona...

— O! nie panie Jasny. Nie o niego tu chodzi. On w Nereczyńsku. Ja przychodzę za synem, który jest tutaj.

— Kto ty? I co za syn?

— Ja żona Nuchima, jestem z Czyty, sama tam dziś jedna, bez nikogo, jakby wdowa i sierota...

I zalała się łzami.

— Tu trzeba owczej cierpliwości — tupnął nogą generał — aby słuchać brednie i szlochy wasze głupie. Mów prędzej! Bo zawołam takiego, który cię prędko sprowadzi. Rozumiesz? Tam, na dół. A już nie moja to rzecz – dodał złośliwie — czy się tam podniesiesz cała..

Kobieta się wstrzęsła, lecz siląc się. jak mogła, zawołała:

— Litości! Ja nieszczęśliwa matka, wlekłam się aż tu, z Czyty, pieszo, upadając. Ja nie wiem, ile ja dni szła tutaj: bo tutaj jest syn mój i jego, Nuchima, który nie mógł iść ze mną...

— Syn twój? — zapytał się nieco spokojniej generał, widząc tu przed sobą kobietę dość nikłą i słabą, która tyle wiorst przeszła przez takie okolice, i dodał: — No, zapewne w pułku? żołnierz? służy dziś Najmiłościwszemu panu. Jakże on się nazywa? w której kompanji? No, no, z tem się udasz do kapitana, jeśli chcesz się widzieć z synem. A jeśli nie będzie przeciw regulaminowi, to on ci pozwoli się

widzieć z nim. Ale z tem nie przychodź do generała, bo on się takiemi rzeczami nie zajmuje.

— Jasny panie, litościwy! Ale... mnie bo wszyscy mówili, że pan kapitan nie może, ani nawet major nie ma prawa...

— Dla czego? — rzekł surowiej zmarszczywszy oblicze.

— Bo on, mój syn, nie jest żołnierzem. To dziecko jeszcze, tak, on tu niby w szkole...

— W szkole? — zapytał ostrzej generał.

— Tak, miłościwy panie. On był wzięty nam dawno. Już temu cztery lata. Ach! długie lata...

— Jak się nazywa? — mruknął niecierpliwiej.

— Dziecko dziś jedyne moje. Dawid, syn Nuchima z Czyty, miał wtedy dziewięć lat zaledwie...

Komendant popatrzywszy na kobietę przenikliwiej zapytał:

— Wy, żydowskiego szczepu?

— Tak, Jasny panie, i on jest żydem.

Komendant ostro spojrzał i rzekł z naciskiem:

— On nie jest żydem, ani waszym dziś synem. Kto tobie powiedział, że on jest żydem? On jest dziś carskim. Rozumiesz? Imperator jest ich wszystkich teraz ojcem. A wy się pożegnajcie z nim na zawsze! Bo już nie macie do niego prawa. Rozumiesz? A teraz już tobie odejść.

Kobieta się wstrzęsła. Siliła się utrzymać na nogach, lecz bez sił padła.

Komendant zawołał na ludzi, żeby omdlałą wynieśli.

I kazał wołać innych, co czekają w antykamerze po kolei.

XV.

Matka była w rozpaczy. Tyle przeszła drogi — za ciężkiej na jej siły — tyle wycierpiała, aby módz odszukać syna - a teraz, gdy go nareszcie odnalazła, i wie, że on tutaj, w tej warowni — teraz musiała usłyszeć straszne słowa, że już do niego na zawsze straciła prawo. On dziś nie jej — on carski. Dla czego carski? Jakie ma car do niego prawo? Zali dzieci zabrane do wojska, nie należą już do rodziców? Nie, to niepodobna! Car tak chcieć nie może! To tylko jego sługi, te carskie sługi i namiestniki oszukują ludność w imieniu cara. I skoro ona tutaj nic wskórać nie może, uda się do samego cara, padnie mu do nóg. Car uczyni jej sprawiedliwość!

Towarzysz zaś jej stary wiedział, że to tylko jest marzeniem. Po wszystkiem poznał, że to daremne. Kiedy szedł z nią do Irkucka, miał wtedy jeszcze nadzieję, lecz tutaj słyszał od wszystkich, że które z dzieci burjackich, tunguskich, żydowskich, zabiorą dla armji carskiej, to nie na to mustrują je w szkole, by potem oddawać Burjatom, Tunguzom, Żydom. Staraniem ich jest usilnem, zerwać ze wszystkiem łańcuch, co wiąże dzieci z rodzicami innoplemiennęmi.

To samo mówili kobiecie wszyscy jej współwyznawcy, których zdybywała w Irkucku. Żaden nie czynił jej nadziei. Dla nich i dla dzieci żydowskich car „russki“ jest tylko Herodem. Bo żali niejednemu z nich nie zabrano chłopca — a kto go potem widział? Za dawniejszego cara, za Aleksandra, było jeszcze inaczej, ale dzisiaj jest Mikołaj na stolicy. Groźny, bezwzględny, takie wydał prawo na ród męski, żydowski, zrodzony w Syberji. Rodzicom wolno mieć córki, ale nie synów. Tak przeznaczył samodzierżca dzisiejszej wszech Rosji.

Towarzysz wędrówki Sary uczynił, co mógł, towarzyszył matce w długiej, uciążliwej podróży, narażony był nawet na śmierć w Bajkale. Ona to wszystko widziała — i dziś już więcej wymagać od niego nie może. Stary musi wracać w strony swoje, tj. te, które mu los przeznaczył dziś na pobyt, i gdzie go ludzie więcej znają i z którymi on żyje.

Ona mimo to postanowiła zostać tu w Irkucku, w pobliżu syna. Bo on tutaj — w tej warowni, na którą się dzień w dzień choć patrzeć będzie mogła. Gdyby stąd odeszła i opuściła Irkuck, zdawałoby się jej, że on już umarł i przepadł dla niej na wieki, a tak będzie się choć w dzień zdala patrzyła na te mury, w których on się znajduje. Przecież muszą choć kiedy prowadzić ich przez miasto, a może na błonie jakie na mustrę — wówczas po drodze zobaczy on matkę swoją. Albo może duch jaki dobroczynny powie mu we śnie, że on nie jest dziś opuszczony, gdyż tu w pobliżu jest jego matka, która czuwa nad nim, i wszystko uczyni, ażeby on kiedyś do niej mógł powrócić.

Kobieta znalazła w tem miejscu niejaką opiekę w swoich współwyznawcach, których tu było więcej, choć bezprawnie, bo Mikołaj zakazał żydom pobyt w mieście, lecz Mikołajowi słudzy potrafią obejść niejeden paragraf, jeśli się szturm do nich umie przypuścić. Sara też mogła pozostać w domu u którego ze swoich, jeśli się temu za to czem wysługiwała, skubaniem przynajmniej pierza, lub i noszeniem wody, choć się wlec ledwie mogła. Ale żyd za darmo nie daje jałmużny.

Ze łzami w oczach dziękowała towarzyszowi swej wędrówki, że tyle dla niej, obcej kobiety, poniósł trudów, on, sam starzec — i więcej od niego wy-

magać nie może, bo ma męża, który dziś jeszcze w zamknięciu — ale już wkrótce więzienie jego skończy się: wtedy przybędzie, i razem wspólnemi siłami pracować nad tem będą aby syna wydostać z niewoli. On ma bowiem zawsze nadzieję, że gdy mąż wyjdzie z więzienia, zawiąże przecież stosunki z innymi — i znajdzie drogę do cesarza. Ona kobieta, nie znajdzie, ale on — co innego. Choć oni dziś całkiem podupadli, i mąż, kiedy powróci będzie żebrakiem, lecz dola chodzi po ludziach, a nie po lesie. Ileż to razy słyszała, że człowiek zapadłszy w nędzę ostatnią, nic już nie miał, potem jeszcze wydrapał się jakoś i znalazł środki i przyjaciół, mógł zatem nowe nawiązać stosunki. A on jest przecież żydem? Przez ludzi drugich znajdzie zatem drogę do cara?

Nie miała przeto teraz nic pilniejszego, jak uwiadomić męża, że miejsce pobytu syna już odnalazła; ale zabiegi wszelkie, aby się dostać do niego, spełzły na niczem. Lecz ona postanowiła zostać dziś w Irkucku — dokąd i on po opuszczeniu więzienia swego szukać jej będzie. W Czycie bowiem nie dowiedziałby się, gdyż tam wiedzą, iż ona wyszła, ale gdzie teraz przebywa, o tem wiedzieć oni nie mogą. Zresztą o niej, dziś żebraczce, każdy łatwo zapomniał.

Jak uradzono, tak wnet po tej naradzie ze współwyznawcami, odszedł od żony list donoszący o wszystkiem do męża do Nerczyńska.

XVI.

Kobieta nie wiedziała, że list jej, zamiast do męża, w ręce tylko dostać się mógł komendanta więzienia. Skazańcom bowiem nie wolno korespondować z najbliższymi nawet krewnymi: listy tych nie dochodzą, których prawo nie uważa jako należących do społeczeństwa ludzkiego.

Nuchim nie wiedział też dziś o niczem, co się działo z żoną jego, tem bardziej, gdy ona teraz była w Irkucku.

Na wszystkie pytania jego o żonę, o syna, na wszelkie prośby, aby mu powiedziano, co się dzieje w domu jego, otrzymywał jedną i tę samą odpowiedź, że jest skazańcem, a co się dzieje po za celą jego więzienną — to do niego nie należy: własność zaś skazańca jest pod opieką rządu. Żyd drżał przed tą opieką.

Nie mając żadnej wieści od żony, musiał o nią się trwożyć. Ciągle myślał nad tem, czy ona da sobie radę w domu, ona, kobieta, w walce niejednej z współzapaśnikami w handlu, z Burjatem, to z „russkim“ człowiekiem, z urzędnikiem gminy, to rządowym. Więzień wystawiał sobie, że tam w Czycie dom jeszcze jego pozostał, i że są jakie sprawy, coby mogły dziś obchodzić czynownika lub przynajmniej Burjata. A Nuchim znał opiekunów gminy, doznawał nieraz opieki rządu, znał i współmieszkańców swoich, dlatego też dziś się dręczył myślami, rozbierając raz po raz, jak tamże sobie daje radę żona z tem wszystkiem. Noce znów dla więźnia stawały się coraz dłuższemi, częściej nie mógł oka zmrużyć, a kiedy zasnął, sen miewał pełen niepokoju. Zdawało mu się wtedy, że nawet wraca już do domu, że już nawet jest tam niedaleko, jednak domu swego dopaść nie może: zawsze coś jakby stawało na przeszkodzie. Czasami znów zdawało mu się, iż znachodzi syna swego, ale syn, coś go nie poznaje, ani on sam dziecko poznać nie może. I gdy się zastanawia, czyli to syn jego, niespodzianie widzi się gdzieindziej między innymi ludźmi, których się pyta o syna swego. On ich błaga, żeby mu powiedziano, gdzie dziecko jego się znajduje, ale nikt mu na to nie daje odpowiedzi. Budząc się widzi tylko te same szare ściany swego więzienia.

Dzień po dniu przechodzi, syn daleko, a ojciec tutaj skrępowany. Rok... ach! dwa lata ma jeszcze siedzieć? A może jeszcze dłużej? Wszak i żonę dłużej trzymano? A tymczasem, co się z dzieckiem jego stanie?

Były chwile, w których wszelką tracił cierpliwość i moc nad sobą, rwał wtedy włosy, i chciał kląć już Niebu.

Czemu go opuściło? Bo gdyby był wolnym, odszukałby dziecka. Carskie zakłady, w których tresują i męczą młodzież, nie mogą być przecież pod ziemią? Atoli jakie oni mają prawo do jego dziecka? ono ze krwi innej, niżeli ta, z której car ma wierne dla siebie poddane? Żali we krwi jego płynie krew „russka“, albo może tatarska, żeby się dał wytresować na żołnierza dla cara? Przecież w żyłach jego nie inna płynie krew, jako niegdyś u tych, o których „pismo“ mówi, że się borykali na zabój na pustyni z Edomitami, z zagonami filistyńskimi? A car chce mieć z niego „russkiego“ żołnierza? Czy Gedeon, nu, może Jeffe, a może to Machabeusze słuchali kiedy „russkiego“ cara? Może on im kazał ostrzydz głowy, nu, jeść barany i wieprze, podawszy w ręce karabin? Nigdzie o tem „pismo“ nie mówi, żeby oni nosić mieli szynel carski. A car myśli, że z synów żydowskich porobi dla siebie żołnierzy? Nu, syn Nuchimów, Dawid mój, nie będzie carskim sał-

datem! Żeby mu kazano przysięgać na wierność carowi, nu, to on nie przysięgnie!

Tak nawet mawiał głośno Nuchim — a współtowarzysze więzienni słuchali słów tych, wtorując mu, inni zaś się z pod oka jeno patrzali.

— Ba! żebyć to go się pytać mieli! — odezwał się na podobne słowa jeden ze skazańców, który za kradzież dzielił losy z Nuchimem. — Jeśli przysiądz nie zechce, to ci mają na to pałki, nieboże?

— Co? pałki? krzyknął rozzłoszczony ojciec. — A kto pod pałkami przysięga? Toby był gwałt, to przymus! To nie przysięga Bogu naszemu, ani waszemu. Nu, kiedy cię złodziej, nu, kiedy rabuś napadnie w lesie, taj podniesie pałkę, żeby ty mu oddał kaletę swoją — nu, kiedy ci on przysięgać każe, że pójdziesz z nim, i będziesz kradł i rabował: to ty się zwiążesz tą przysięgą... nu, będziesz kradł, rabował? ty jemu przysiągł, inaczej byłby cię ubił?...

Ale Nuchim miał za towarzyszy niedoli ludzi, którzy się wcale nie namyślali, gdy kradli i podkładali ogień — a jeśliby była sposobność, toby i przed mordem nie wzdrygnęli się. A jeśliby się dziś ratować mogli poświęceniem towarzysza, dlaczegożby tego mieli zaniedbać? Dlategoż stało się tak, iż namiętne mowy Nuchimowe doszły do uszu władzy więziennej. Nuchim winien był wiedzieć, że siedzi między pospolitymi zbrodniarzami.

Dlatego powołano go wkrótce przed sędzię, i powołano innych na świadków. Rozpoczęły się indagacje.

Nuchim oskarżony został o bunt, o namawianie do krzywoprzysięstwa. Spisywano z nim protokoły, i spisywano ze świadkami. Każde słowo buntownicze, które w gwałtowności swojej wymówił do drugich, torturą z niego i innych wydobywano.

Nareszcie wypadł wyrok. Nuchim został skazany na sześć lat katorgi w kopalniach. Zarzucono nań kajdany — i w kilka dni, pod eskortą kozaków odstawiony został do kopalni złota.

(C. d. n.).

MIŁOŚĆ SUŁTANKI.

W chwili, w której rozpoczynamy niniejsze opowiadanie, największemi może łaskami sułtana cieszył się Ali-bej.

Urzędowo zajmował on podrzędne stanowisko nadwornego błazna, lecz nie było obcem nikomu, że, prócz trudnego obowiązku spędzania chmury z czoła padyszacha, jest *de facto* jego sekretarzem oraz powiernikiem a zatem człowiekiem, który do pewnego stopnia trzęsie losami zwykłych śmiertelników.

Na szczęście, trzęsienie to nie dało się nikomu we znaki, bo w monstrualnie brzydkiej a zarazem nadludzką siłą obdarzonej postaci Ali beja szlachetna i rozumna dusza obrała sie dzibę. Dość było spojrzeć w jego piękne ciemne oczy, ażeby się przekonać o prawdzie powyższego twierdzenia.

I obok niezwykłego dowcipu, posiadał jeszcze Ali-bej umiejętność naśladowania głosu i ruchów osób, z któremi spędził choćby krótki przeciąg czasu. Przedstawiał je naturalnie w karykaturze, lecz zarazem tak trafnie i dowcipnie, że wszyscy poznawali odrazu kogo miał na myśli a nawet poważny zwykle padyszach śmiał się do rozpuku. Lecz zdolność ta mało nie przyprawiła go kiedyś o zgubę, a na razie ściągnęła nań wielkie zmartwienie. Otóż uniesiony zwykłą sobie werwą, wydając któremuś z dworzan żartobliwe polecenie, ośmielił się naśladować głos i postawę padyszacha. W gronie obecnych znalazł się naturalnie przyjaciel, który w okamgnieniu doniósł rzecz całą wraz z odpowiedniemi dodatkami do uszu potężnego władcy. Traf zrządził, że doniesienie to, zeszło się z wieścią o zbrojnym ruchu jednego z podległych plemion i groźna zmarszczka wystąpiła na czoło sułtana. Jeszcze tego samego dnia kazał stanąć przed sobą Ali bejowi i przywitał go w następujący sposób:

— Idź — rzekł — do Hassana (Hassan był pałacowym katem) i powiedz mu niech ci wręczy szuur na którym miałeś być powieszony Odtąd, jeżeli ci przyjdzie ochota możesz wyciągać zdechłe psy z ulic i wrzucać je do mo-

rza. Będzie to pożyteczniejsza czynność, niż błaznowanie, któremu oddawałeś się dotychczas.

Ali-bej nie próbował nawet tłumaczyć się, lecz postąpił ściśle według rozkazu.

— Słyszałem, żeś otrzymał pewne tyczące się mnie polecenie, zagadnął wykonawcę sprawiedliwości.

— Tak jest beju, miałem was powiesić. Patrzcie, oto już wszystko gotowe. Przed chwilą jednak Wielki Effendi zmienił zamiar. Niechże was Ałłah darzy długiem życiem.

— Padyszach rozkazał, ażebyś mi oddał sznur na którym miałem być powieszony.

— Niechże wam służy beju — odparł kat i wręczył błaznowi długą, silną linę.

Ali bej popróbował ją w rękach.

— Sądzisz, że nie byłaby się urwała ze mną? — zapytał. — Ciężki ze mnie człowiek Hassanie.

— Bądźcie spokojni beju. Niech tylko padyszach skinie a powieszę sześciu takich jak wy, na tym samym stryczku. Już to, nie chwaląc się, znam moje rzemiosło doskonale i jak dotąd żaden z tych, co przeszli przez moje ręce, nie skarżył się na zawód.

— Niechże więc Ałłah i w dalszym ciągu dodaje ci sił do pracy — rzekł Ali-bej wsuwając uprzejmemu katowi bakczysz do ręki.

Ztąd udał się na poszukiwanie brata swego Nassuch Haga, który choć w służbie wojskowej dobił się stopnia pułkownika, był w rzeczywistości duszą tajnej policji w Stambule

Urodziwy i okazały, jedynie kształtem i wyrazem oczu przypominał Ali-beja. Niezmiernie przywiązany do brata, wysłuchał z głębokim żalem wieści o jego niełasce

— Co zamierzasz począć ze sobą, zapytał się w końcu. Wiesz zresztą — dodał — że dom mój jest twoim domem.

— Niech cię Ałłach błogosławi — odparł Ali-bej — lecz tymczasem zamieszkam w mym konaku. Co się zaś tyczy przyszłości... sądzę, że nie pozostaje mi nic innego jak tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać... Lecz nie o tem chciałem mówić z tobą...

— O czemże więc?

— Jeżeli się w tych dniach dowiesz, że umieściłem się przy Serai Burnu i jak prosty przewoźnik holuję statki lub kaiki do brzegu, wtedy nie dziw się ani nie kłopocz o mnie.

— Dobrze, lecz nie pojmuję dla czego bez istotnej potrzeby, obierasz zajęcie, które nie przyniesie ci więcej nad kilka parów dziennie.

— Bo też nie o pieniądze tu chodzi. Padyszach ofiarował mi na pamiątkę stryczek i wspomniał przy pożegnaniu, że odtąd mógłbym się poświęcić wrzucaniu zdechłych psów do morza. Była to jednak tylko rada, nie wyraźny rozkaz. Co do mnie, wolę mieć do czynienia z ludźmi i ułatwiać im przeprawę.

Ali-bej mówił to z powagą, która nie opuszczała go nigdy, nawet wtedy, kiedy żartował. Nassuch Haga sądził, że i teraz nie należy brać projektu brata na serjo, lecz myśl tę zachował dla siebie.

— Dobrze, żeś mnie uprzedził — rzekł. — Odtąd moi ludzie nie będą ci przeszkadzać, przeciwnie ilekroć zechcesz, pospieszą z pomocą

Po tych słowach bracia rozstali się a eksfaworyt sułtana wracając do domu kupił ubranie prostego przewoźnika i w niem już nazajutrz, z nieodstępną liną okręconą przez ramię, stawił się nad wartkiemi wodami Sarai-Burnu.

Z Sarai Burnu czy też z Ak Agalu Kapussi roztacza się tak malowniczy widok, że ktokolwiek go raz ujrzy, nigdy zapomnieć nie zdoła. Białe wieże minaretów wraz z otaczającą je gęstwiną cyprysów i piętrzącemi się tu i owdzie skałami strzegą ciemno lazurowych toni fal Bosforu, Złotego Rogu i morza Marmora, które, łącząc się w tej właśnie zatoce, tworzą niebezpieczne dla żeglarzy prądy i wiry.

Nikt nie przybijał do brzegu więc Ali-Bej ścigał okiem szeregi niknących w jedną i drugą stronę łódek, a panująca tu cisza, szafirowe przestwory nieba i wody, koiły dojmujący smutek, jaki od kilkunastu godzin nurtował mu serce. Jedyny może ze wszystkich dworzan, był do sułtana szczerze przywiązany i nie tyle doznana niełaska, ile przymusowe rozstanie bolało go głębiej, niżby kto przypuszczał.

Po pewnym czasie, mała łódź zwróciła jego uwagę. Kierował nią młodzieniec, mniej więcej lat około dwudziestu, który mimo skromnego ubrania i widocznej wprawy z jaką zarzucał sieci, nie wyglądał wcale na prostego rybaka. Twarz jego jaśniejsza niż bywają oblicza ludzi z gminu, wysmukłe choć muskularne kształty, dalej prześliczne, nieco dumnie spoglądające źrenice, kazały się w nim domyślać wysokiego pochodzenia.

Przed tygodniem spotkało go w tej właśnie zatoce niezwykłe zdarzenie. Kiedy o zachodzie słońca oparty o brzeg łódki, wyciągał całą siłą młodych ramion pełną sieć z morza,

przepłynął tuż przed nim bogato ozdobiony kaik. Młodzian spojrzał przelotnie i ujrzał cztery szczel nie osłonięte postacie niewieście oraz dwóch czarnych, jak heban wioślarzy. Pamiętny przepisów Koranu, który zabrania prawowiernemu, mierzyć obcą kobietę zuchwałym wzrokiem, spuścił natychmiast głowę i wrócił do przerwanego zajęcia. Zresztą obfitszy niż zwykle połów pochłonął jego uwagę. W wyciągniętej sieci, rzucało się móstwo srebrnych, różowych, złocistych mniejszych i większych ryb. Przybił do brzegu, ułożył zdobycz w koszyku i już miał z nim wracać do domu, kiedy jeden z ujrzanych przed chwilą murzynów zastąpił mu drogę.

— Chodź ze mną — rzekł. Mam kupca na twoje ryby.

— Wybacz, lecz nie jestem handlarzem — odparł młodzieniec.

Czarny jednak nie myślał ustąpić.

— Dziś musisz zrobić wyjątek i iść ze mną koniecznie. Pewna dostojna pani, chce ażebyś odstąpił jej pewną część połowu. Nie wypada ci odmawiać.

Na to młody człowiek nie znalazł odpowiedzi i chcąc nie chcąc udał się za murzynem. Przeszli parę kroków i stanęli przed małemi ukrytemi w murze drzwiczkami. Przewodnik zniknął za niemi, lecz w parę minut otworzyła je jakaś niewidzialna ręka i młodzian ujrzał biało ubraną, czarnooką dziewczynę, która z poza zasłony mierzyła go od stóp do głowy.

— Widziałyśmy cię, jak wyciągałeś sieć z wody — rzekła — i pani moja zauważyła w niej sporo ryb.

I z temi słowy podała mu śliczny misternie pleciony koszyczek.

— Z miłą chęcią — odparł.

Wybrał najrzadsze i najpiękniejsze okazy i wręczył je niewolnicy.

— Dzięki — rzekła dziewczyna. A w zamian przyjmij należne wynagrodzenie.

I chciała mu wręczyć złotą monetę, lecz młody człowiek cofnął szybko rękę mówiąc:

— Cieszy mnie, iż mogłem oddać tę małą przysługę twej pani, lecz nie sprzedaję ryb nikomu i dla tego nie mogę brać za nie zapłaty.

— Jakto nie jesteś więc rybakiem?

— Tylko amatorem rybołostwa i nie zarabiam niem na utrzymanie.

Dziewczyna zamyśliła się i rzekła po chwili:

— Niechże się stanie według twej woli lecz

pod warunkiem, że ta pierwsza grzeczność nie będzie ostatnią. Ucieszysz moją panię, jeżeli codziennie o tej samej godzinie odwiedzisz nas i podzielisz się z nami połowem. A przedewszystkiem może zechcesz powiedzieć jak cię zwać mamy?

— Imię moje Murad.

I odtąd, po każdym zachodzie słońca młodzian kołatał do małych drzwiczek haremu Przyjmował go zawsze ten sam, stojący na straży, murzyn oraz ta sama dziewczyna. Kiedyś, rozstając się z Muradem wsunęła mu ukradkiem bursztynowy cybuch wysadzony klejnotami a później piękną wzorzystą szarfę Skromnie wychowany młodzian nie poznał się nawet na wartości obu przedmiotów, które zresztą spostrzegł dopiero po powrocie do domu, lecz tak czy owak sprawiły mu one więcej kłopotu niż radości.

— Pani twoja jest hojną nad miarę — rzekł do niewolnicy. — Proś jej niechże to będzie po raz ostatni bo inaczej nie przyjdę tu więcej.

Pewnego dnia wypadły z łask faworyt zaznajomił się z Muradem i odtąd zaczęli coraz częściej przestawać ze sobą, aż wreszcie zażyłość ta zmieniła się w zobopólną sympatję. Ali bej wspomniał o niej bratu przyczem wyraził zdziwienie, że jedynie łódka Murada, zatrzymuje się u brzegów Sorai Burnu. Nassuch Aga rzekł.

— Jest to przywilej, którego racji nie domyśla się nikt a najmniej sam Murad. Chłopiec pochodzi istotnie ze szlachetnej rodziny. Ojciec Murada stary Timbooks, były władca Georgji, zamieszkał w grodzie Padyszacha gdzie wychowuje jedynego syna w zupełnej nieświadomości swego dostojeństwa. Czyni to prawdopodobnie w tym celu, by nie budzić w młodzieńcu ambitnych zamiarów, które dziś mogłyby go wtrącić w przepaść.

Tak.. chan Timbooks nie nadużywał, ani też nie nadużywa prawa gościnności i dałbym za to szyję, że wrogowie naszej potęgi nigdy nie znajdą w nim sprzymierzeńca. Mówię z doświadczenia ponieważ kilka lat z rzędu śledziłem go pilnie. Mieszka we własnym konaku w pobliżu Haga Sofia, gdzie pędzi ciche i odosobnione życie. Wiesz teraz dla czego twój młody przyjaciel zarzuca swobodnie sieci i wiosłuje w zatoce, w której prócz nas, straży haremowej oraz służby sułtana, nikomu nie wolno przebywać. (C. d n.)

Redaktor odpowiedzialny Dr. Kazimierz Ostaszewski-Barański. Właściciele i wydawcy: Dr. K. Ostaszewski-Barański, A. Milski i Sp.
Z drukarni J. Czaińskego w Gródku.